

MEMORIAŁ
General Marii Wittek

Łyp. mi zrobiono



adres cichej:
Grzywna Wspomnisk

09 - Kos Ptock

POW

++
LENARTOWICZ Helena

zd. Chrucka

3423/WSK

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — LENARTOWICZ Helena

zd. Chmucka

T. 3423/WSK

I. Materiały dokumentacyjne

- I/1 – relacja właściwa ✓
- I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora ✓
- I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora -

II. Materiały uzupełniające relację ✓

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

- III/1 – dot. rodziny relatora
- III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r. -
- III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 – 1945) -
- III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r. -
- III/5 – inne...

IV. Korespondencja ✓

.....
.....
.....
.....

V. Wypisy ze źródeł (tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”)

VI. Fotografie ✓

I/1 RELACJA WŁAŚCIWA

- Relacja sponadniona przez Grażynę Lisopneuska rd. demantowicz,
Warszawa 2003, mps. (oryg.), K. 1, s. 1-2.



I/1/1

Helena Lenartowicz, z domu Chrucka

Dane osobowe relatorki:

Helena Chrucka, po mężu Lenartowicz.

ur. 28.IX.1900r. w Szuklach, powiat Wołkowyski na Białorusi.

Rodzice: Jadwiga, z domu Tomaszewska, i Marian Chrucki.

Osoba składająca relację:

Grażyna Węgorzewska, z domu Lenartowicz, córka. Płock, ul. Solśkiego
tel. 0-24-2631577 5/2 m 42

Dane środowiskowe przedwojenne:

Szkoła średnia - Polska Macierz Szkolna w Kijowie, świadectwo maturalne z Żytomierza z.r. 1919.

W tym czasie wstąpiła do POW wraz z koleżanką z Kijowa Jadwigą Zarębską i Franciszkiem Niepokólczyckim. W grudniu 1919r. po dekonspiracji komórki zmuszona jest do ucieczki przez zieloną granicę do Polski. W 1920r. spotyka się w Warszawie z koleżanką Józefiną Pisarczykową, późniejszą pracownicą MSZ. Obie meldują się u Komendantki POW Sławy Macieszyny. Po przeszkoleniu wojskowym, zostały wciągnięte do pracy w Drugim Oddziale. Zostają obie delegowane, jako kurierki, na wschód przez granicę, z dużą sumą pieniędzy. Po drodze trafiły do płk Zawadzkiego. Granicę przekroczyły, zadanie wykonały. Z trudem, udając rosjanki, wróciły do Polski.

W 1921r., pracując wówczas w Urzędzie Wojewódzkim w Łucku, otrzymała Krzyż POW, przywieziony przez Fr. Niepokólczyckiego. Po zamążpójściu za Ryszarda Lenartowicza, adwokata, w 1930r. nie pracowała zawodowo, pracowała natomiast społecznie w Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, którego przewodniczącą była żona Wojewody Wołyńskiego, Henryka Józewskiego, Julia Józewska. Jako należąca do POW, Helena Lenartowiczowa miała kontakty społeczne i towarzyskie z Wojewodą i jego żoną. W 1939r., po wybuchu wojny, pracowała jako wolontariuszka w szpitalu wojennym w Łucku. Komendantem szpitala był dr Cenceniowski, dowódcą administracyjnym kpt. Konstantynowicz. Szpital działał jeszcze jakiś czas po zajęciu Łucka przez Sowieców. W tym czasie udało jej się pomóc w ucieczce ciężko rannemu podchorążemu Motzowi, który jakiś czas przebywał w domu szwagra Heleny, po czym, zaopatrzoną w dokumenty

i cywilne ubranie, wydostał się z tamtejszych terenów. Wiadomo, że przeżył, mieszkał w Anglii. Na mocy tzw. §11, została wraz z mężem i córką wysiedlona w 1940r. przez władze sowieckie z miasta do wsi Peretoki k/Ołyki. Po wkroczeniu Niemców wrócili do Łucka. W lipcu 1943r. mąż został aresztowany i stracony w Równem w listopadzie 1943r. wraz z grupą innych Polaków z inteligencji polskiej, aresztowanych w tym samym czasie w Łucku. W czasie okupacji na terenie Wołynia, udzielała pomocy żołnierzom 27 Dywizji Piechoty AK. Kilkakrotnie nocował w jej mieszkaniu oficer 27WDPAK z terenu Polesia. *(Dębicki?)* Pracowała wówczas w zakładach mięsnych jako urzędniczka. /znała j. niemiecki/. Po wkroczeniu Armii Czerwonej do Łucka w lutym 1944r. pracowała w Archiwum Dokumentów Niemieckich jako tłumacz. Siostrzeniec Zbigniew Ślizowski, żołnierz 27WDPAK, lat 17, zginął 16 maja 1944r. Po tzw. repatriacji z Łucka, w maju 1945r. zamieszkała z córką w Kluczborku, woj. Opolskie, pracowała w Społem. Po ukończeniu przez córkę Akademii Rolniczej we Wrocławiu, obie zamieszkały w Szczecinie. ~~1958r.~~ W 1959r. została odznaczona Gryfem Pomorskim za pracę zawodową i społeczną, a 1979r. Medalem 25lecia Akademii Rolniczej w Szczecinie, w administracji której pracowała. W 1983r. zginęła tragicznie w Warszawie potrącona przez samochód. ~~Przeżyła~~ Pochowana w Warszawie.

Warszawa 10-03-2003r.

I/2 DOKUMENTY

- Legitymacja nr 3143/59, odznaczenie „Gryfem Pomorskim”, Szczecin 1959r., kopia, k. 2 s. 1-4
- Medal Pamiątkowy AR w Szczecinie, kopia, k. 1 s. 5-6
- Dowód osobisty nr 007527 (z okładki), nr 8495 (wewnątrz), Łuck 1952r., kopia, k. 1 s. 7-8
- Akt Usnania Obywatelstwa nr 3649/II, Starostwo Łuckie 1923r., kopia, k. 1 s. 9-10
- Dokument w j. rosyjskim nr 224 z 1919r., kopia, k. 1 s. 11-12
- Dokument w j. rosyjskim (odczytania napisany), kopia, k. 1 s. 13-14
- Dokument w j. rosyjskim nr 546 z 1945r., kopia, k. 1 s. 15-16



PREZYDIUM
WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ
W SZCZECINIE



LEGITYMACJA

Nr. 3143/59

Szcz. 5159 X-3

I/2/2



Ldn. 822/USK-412/03

Uchwałę Prezydium Wojewódzkiej Ra-
dy Narodowej w Szczecinie
z dnia 29 września 1959 r.
Nr 295/59 za zasługi położone
przy zagospodarowaniu województwa
szczecińskiego

Obywatel (ka)
L E N A R T O W I C Z

Helena c. Mariana

odznaczony (a) został(a)

s r e b r n ą

odznaką pamiątkową

„GRYFA POMORSKIEGO”

Szczecin, dnia 30.IX. 1959 r.



Prezydium

Marian Jedrzejczak
Sekretarz Prezydium

Ik/m



lch. 822/UNK-442/03

16/15

Akademia Rolnicza w Szczecinie
w uznaniu zasług przyznała

Helenie

Lenartowicz

MEDAL PAMIĄTKOWY

Rektor

IP/6



Ldn 822/41K-412/03

12/4

Nr. 3495
 Nazwisko Lenartowiczona
 Imię Helena
 Data urodzenia 28 X 1906
 Miejsce urodzenia Brusle
 Zawód przy maszyn
 Wzrost Wysoki
 Twarz Pociągga
 Włosy Brązowa
 Oczy Brązowe
 Znałk Brązowa
 Wydanie 13. IX 1937

MAGISTRAT
 MIASTA
 ŁUCKA
 PREZYDENT m. ŁUCKA
 W. Perniewski



Helena Lenartowiczona
 Stosownie do art. 19 rozporządzenia Prezydenta R. P. z dnia 16 marca 1925 r. o ewidencji i kontroli ruchu ludności (Dz. U. R. P. Nr. 52, poz. 309) zaświadcza, że wyżej pomyślona w niniejszym dowodzie jest obywatelką polską (co zostało stwierdzone na podstawie WYMOŻENIA WYKAZOWEGO URZĄDU SPRAW PEŁNOMOCNIKÓW w ŁUCKU Nr. 3999 z dnia 27. IX 1937 r.)

Podpis 3999

ENERGIA 1939 OKRĘG POMORZE 1945 WŁAŚCIWY

województwo Województwo Łuckie
 powiat Łucki
 gmina m. Łucka

WYCIĄG
 Z ART. 18 I 19 ROZPORZĄDZENIA PREZYDENTA R. P. Z DNIA 16 MARCA 1925 R. O EWIDENCJI I KONTROLI RUCHU LUDNOŚCI (Dz. U. R. P. Nr. 52, poz. 309).

Art. 15
 Dla ułatwienia legitymowania się wydawane na żądanie przez gminy dowody osobiste w tych gminach zamieszkałym i zameldowanym, dowody te pobiera się 60 gr tytułem zwrotu kosztów druku. Zadnym innym opłatom dowody osobiste, również podadła (wraz z załącznikami) o ich wydanie, nie podlegają.

Art. 19
 Osoby, posiadające dowody osobiste, wymienione w artykule poprzednim, mogą prosić powiatową władzę administracji ogólnej o zaświadczenie w dowodzie osobistym, że są obywatelami polskimi. Powiatowe władze administracji ogólnej nie odmówią zaświadczenia, jeżeli po sprawdzeniu stwierdzą, że osobie, starającej się o zaświadczenie, przysługują rzeczywiście obywatelstwo polskie.

Wydany na podstawie art. 18 rozp. Prezydenta R. P. z dnia 16 marca 1925 r. o ewidencji i kontroli ruchu ludności (Dz. U. R. P. Nr. 52, poz. 309).

er.B. No 007527

Drukarnia Państwowa Nr. 64353. 27.IV.33. 100

I/2/a



Ln 822/1116-1117/03

Starostwo

Suche

Nr.

3579/II

Akt Uznania Obywatelstwa

P. Chruszko Helena w *Suche*
 na *Młynie* urodzona dnia *28 września* roku *1900*
 w *Susłach z. kółca* (syn) (córka) *Chruszko*
Yadwigi złożyła dnia *6 marca* 1923 r.

oświadczenie, że chce być obywatelem polskim i że zrzeka się dotychczasowego swego obywatelstwa *Polyskiego*

Stwierdzając, że p. *Chruszko Helena* złożył dowody, że jest pochodzenia polskiego, uznaje się go (ją) na zasadzie art. 3 ustawy z dnia 20 stycznia 1920 roku Dz. U. R. P. Nr. 7 p. 44 i na zasadzie art. 8 rozporządzenia wykonawczego od tejże ustawy z dnia 7 czerwca 1920 r. Dz. U. R. P. Nr. 5 p. 320 za obywatela Państwa Polskiego.

Zapisano we właściwym rejestrze pod L. b. *1179*
 dnia *12 marca* 1923 r.



Starosta

Helena Chruszko

ELŻBIETY ZAWACKIE

1/2/10



1 dn 822/1111 - 412/03

Удостоверение № 227

Представительница сего
Кружка имени
состоит ученицей
VII класса
исключено Уездного Заведения
"Мещерини Полковой" в Кисте

Удостоверение сие выдано на срок
по 1 сентября 1919 г.



М. К. Геминский



Ite/12



Ldn. 822/WVK - 412/03

Временное свидетельство

(подлежит обмену на подлинное).

Настоящее свидетельство выдано Педагогическим Советом Киевской женской школы "Польской Матерни" Лрицкой Елене Марьяновне в том, что она прослушала курс выделуказанный гимназии.

г. Киев, мая 30 1945

Председательница Педагог. Совета
М. В. Ретинская.

Елена

Р. А. Звонковская
Е. Суровская



72/14



Ln 822/1112-1112/03

1/2/15

У С С Р
НАРОДНЫЙ КОМИССАРИАТ
ВНУТРЕННИХ ДЕЛ

Действительно до 1 апреля 1945 г.

ОБЛАСТНОЕ УПРАВЛЕНИЕ
Н К В Д

УДОСТОВЕРЕНИЕ

ПО ВОЛЫНЬСКОЙ ОБЛАСТИ

Предъявитель сего тов. Ленартович

2 января 1945 г.

Елена Марьяновна

№ 576/ок

действительно является сотрудником УНКВД

в должности научного сотрудника
областного гос. архива.

Тов. _____ имеет на вооружении



НАЧАЛЬНИК УНКВД
ВОЛЫНЬСКОЙ ОБЛАСТИ
Полковник Г. Яковенко

Яковенко (ЯКОВЕНКО).

Обл. Друк. в Луцьку, Зам. 1526-44.



IPK



Wn 822/102-412/03

II MATERIAŁY WZUPETNIĄJĄCE RELACJĘ

- Wspomnienia Heleny denantowin, wrzesień 1939 r., mps (kopia), K.6, s. 1-6.
 - Wspomnienia Heleny denantowin, Okupacja niemiecka, 1942, mps (kopia), K.4, s. 7-10.
 - _____ // _____, Jesień roku 1942, mps (kopia), K.3, s. 11-13.
 - _____ // _____, Okupacja lato 1942, mps (kopia), K.2, s. 14-15.
 - _____ // _____, Wyjazd z domu i pierwsze dni w Kłuciborku, mps (kopia), K.4, s. 16-19.
- drugi egzemplarz: Wspomnienia Heleny denantowin (wspomnienia sanitariuszki), wrzesień 1939 r., org. maszynopis, K. 9 s. 20-30



wrzesień 1939 rok

Wojna zastała nas, to jest mnie z Grażynką już w domu, po naszym powrocie z wakacji, które jak co roku spędzaliśmy na Leśni - czówce / ~~Garne~~ Łozy koło Torczyna / Lipińskich. Parę bomb zostało rzuconych gdzieś w okolicy koszar, podenerwowanie było wielkie u wszystkich, ale byliśmy najlepszej myśli, że "nie oddamy nawet guzika". W parę dni potem na nasz Łuck i wogóle na Wołyń nastąpił najazd uciekinierów z centralnej Polski. W tym rozgardiaszu zaginał nam ukochany pies Grażynki., jamnik Cis, który korzystając z zamieszania uciekł na ulicę, a tam pewnie ktoś go ukradł.

Na moją prośbę przyjął mnie "na ochotnika" w szpitalu wojennym Nr. 1 komendant tegoż szpitala dr Ceceniowski. Dziwna to była praca. Szpital był już zapełniony rannymi, wszystkie łóżka zajęte, ale szpital zamieniał się w punkt zborny rozbitków z formacji wojskowych. pełno było lekarzy bez przydziału i wogóle zbieraniny nie wiadomo jakiej. Służbą sanitarną zaraz po wejściu bolszewików, uciekła do domów, ranni leżeli nieopatrywani, lekarze siedzieli w tzw. kancelarii pod ścianami i głucho i tępo wszyscy milczeki. Po wejściu na salę z rannymi słyszałam "siostrzyczko proszę pomóc, chcę pić, co tam słychać, co z nami zrobią"?

Któregoś dnia, w sąsiednim gmachu byłego gimnazjum, zamienionym również na szpital i pełnym rannych bez opieki, spotkałam się z matką mi znaną p. Karasiewicz. Wiedziałam, że mąż jej był dyrektorem w którymś z banków. Na ogromnym, pustym korytarzu leżał sam na noszach jakiś wojskowy i błagał o pomoc, "siostrzyczki, pomóżcie, to nie moja wina, że jestem taki brudny, że robaki po mnie łażą". Oczywiście podeszliśmy, był to żandarm, chudy, ale bardzo długi, nogi sterczały poza nosze. Pani Kar. opatrzyła go jak mogła i same wniosłyśmy go na salę gdzie było wolne łóżko. Nie był ciężki, ale dla nas wagi wystarczająco dużo. Ledwie go niośliśmy, a tu trzeba było jeszcze nosze podnosić, ponieważ wolne łóżko stało gdzieś daleko pod ścianą. Ale dałyśmy radę. Pamiętam tylko jak ze wszystkich ust rannych słychać było za nas stękanie i pomażanie, "siostrzyczki wyżej, w lewo, och jak wam ciężko, a my pomoc nie możemy". Wróciłam wściekła do swojej "kancelarii", diabli mnie wzięli, że tam beczynnienie siedzi tylu mężczyzn lekarzy /był tam też napewno dr Szarecki/, powiedziałam więc głośno to co myślę, że tam ranni leżą bez opatrunków, bez wody, a tu tylu beczynnienie siedzi. Mil-

czenie było odpowiedzią.

Kiedys z tego kręcącego się po szpitalu tłumie podchodzi do mnie jakiś dyplomowany major i prosi: "ja wiem, że zginę idąc tam do niewoli, ale jest tu ze mną podchorążak, ostatni z rodziny, byłbym pani bardzo wdzięczny gdyby pani mi go stąd wyprowadziła, mamy znajomych mieszkających obok Zamku Lubarta". Bramy pilnowali młodzi żydzi, cywile z czerwonymi opaskami na rękawach. Ponieważ szpital ten zorganizowany był w gmachu Macierzy Szkolnej i położony już prawie za miastem obok cmentarza i koszar, parę razy prosiłam tych młodych chłopców o sprowadzenie dorożki, bo do domu miałam daleko i od codziennego kręcenia się po szpitalu bolały mnie nogi. Teraz też poprosiłam o dorożkę. Gdy przyjechała podeszłam z tym podchorążakiem, któremu założyłam na rękaw opaskę czerwonego krzyża i udając, że się słabo czuję potrzebuję pomocy i odwiezienia do domu. Najgorzej było potem, gdyż nie chciałam jechać śródmieściem, ul. Jagiellońską, która prowadziła do Katedry i na Zamek, tylko kazałam staremu dorożkaczowi objeżdżać dookoła. Nie wiem co myślał, ale słuchał, choć wiedział gdzie mieszkam i do domu "chora" nie wracał. Ale dojechaliśmy szczęśliwie na Plac Zamkowy, chłopak wysiadł, a ja ostrym głosem powiedziałam "za godzinę ma Pan być w szpitalu z powrotem". Potem pojechałam do domu - udało się. Nie znam jego nazwiska.

Z domu, ku oburzeniu gosposi i męża zaczęłam wynosić soki aby choć wodę z kranu umilić rannym w smaku. Szczególnie jeden wiele pił, miał przestrzeloną pierś na wylot. Kiedys przy takim picciu zapytał "czy siostrzyczka miejscowa", tak, odpowiedziałam, A to dobrze, mam tu kolegę, może pani da mu znać, on mi pomoże. Nazywa się inż. Stanisław Gutkowską. Okazało się, że to mój szwagier. Dałam znać, ale sprawa była skomplikowana. Ranny nie mógł chodzić. ubrania nie miał. No i przecież bramą nie wyjdzie. Miałam zaprzyjaźnionego jakiegoś wojskowego, bez odznak, wysokiego draba, który w tym czasie nie tracił głowy i "urządzał ~~się~~ się". Widząc, że jestem ciągle zajęta, swoje papierosy odaje rannym, a w mieście sklepy były już pozamykane, choć czasem dostawałam parę papierosów, tytoniu czy bibułki, wtykał mi do ręki jabłko czy papierosa, postanowiłam do niego udać się po pomoc. Chętnie się zgodził. Pomoc ta polegała na wyłamaniu w parkanie ogradzającym szpital paru sztachet, w kącie, koło śmietnika, tak, aby nie bardzo schylając się, mógł przejść ranny. Oczywiście przedtem przyniosłam od

szwagra pakunek z ubraniem Na oczach wszystkich, na sali przebrałam rannego w cywilne ubranie i oboje wzięwszy go pod pachy zeszliśmy w dół, do piwnic i stamtąd pod wyłamany parkan. Udało się. Stach już w domu sprowadził do niego lekarza i po krótkim pobycie w Łucku, ubrany w skórzaną kurtkę szwagra, ruszył w drogę na Węgry. Ocalał, mieszkał po wojnie w Londynie, był nawet w Warszawie i kontaktował się z moją rodziną, ale o "siostrzyczkę", która mu pomogła, nawet nie zapytał.

Jeszcze dwa obrazki z czasów szpitalnych. W pierwszych dniach wojny zestrzelony został samolot niemiecki i dwóch lotników uratowało się, choć byli lekko ranni, i na noszach przyniesiono ich do nas. Stałam nad nimi gdy raptem obaj jak na komendę usiedli na noszach i zaczęli nadśluchiwać. Rzeczywiście nadleciały samoloty niemieckie, które zaczęły brzucać bomby na naszą okolicę. W tym czasie nie bałam się niczego i poniosło mnie, że te byki, strzelające do ludności cywilnej nawet na łąkach nad Styrem, zabijający uciekających z miasta cywilów, kobiety i dzieci, udają tu chorych! Powiedziałam, że się ich samolotów nie boimy, a po nich zaraz przyjdzie żandarmeria. I rzeczywiście sprowadziłam telefonicznie żandarmerów, którzy zabrali ich ze szpitala.

Z biegiem czasu, to nie był już tylko szpital, ale zbiorowisko uciekinierów i rozbitków na granicach wschodnich Polski. Straszne i poniżające chwile przeżywaliśmy. Po 17 września wyszło zarządzenie--oddawania broni, oficerowie krótka, żołnierze karabiny, granaty. Były to okropne chwile. Twarze oficerów blade, ściągnięte. Ja siedziałam przy maszynie, naprzeciwko biurka komendanta sowieckiego, który zajął je po płk. Ceceniowskim. Zanim oddał broń, jeden z oficerów pokazuje mi rewolwer i mówi: "to mego ojca. dwie wojny z nim przeszedł, jak ja go oddam?". Zrobiłam to - była taka chwila i wypatrzywszy gdzie leży, gdy komendant wyszedł, a dwóch żydków pilnujących zagadało się, złapałam ten rewolwer i schowałam pod swoje papiery. Na W pokoju stale kręcili się oficerowie, ja musiałam wyjść i po krótkiej nieobecności, gdy chciałam schować go głębiej, to jest do swojej torebki, nie zastałam broni już na miejscu. Nie wiem kto mógł go zabrać, bo kiedy to wiedziałam dobrze. Może odzyskał go właściciel, ale chyba nie był w stanie go uratować. U mnie byłoby lepiej, nikt mnie nigdy przy wyjściu nie rewidował. Pewnego razu, gdy odjeżdżała karetka sanitarna, pełna broni złożonej w koszykach, skorzystałam z propozycji konwojujących żydków, że odwiezają mnie do miasta, usiadłam "półgębkiem" na koszu z bro-

nią , wjechałam aż ~~na~~ na podwórze Urzędu Wojewódzkiego , podeszli jacyś sowieccy żołnierze , wysiadłam i nie zatrzymywana przez nikogo wyszłam przez otwierającą się przede mną bramę . Było już NKWD .

Jeszcze jeden obrazek . Po korytarzach chodził lotnik , w szlafroku , rękę miał na wyciągu , głowę obandażowaną tak , że tylko jedno oko patrzyło , usta opuchnięte . Był o kuli . Widziałam , że patrzy na mego papierosa , którego paliłam , poczęstowana przez sierżanta-szefa 24 p.p. bardzo życzliwego człowieka . Dawał mi już ^{on} tylko po pół papierosa , gdyż wiedział , że dzielę się tym co mam z rannymi , a połówkę chyba sama wypalę ! Ale i tego , nadpalonego oddałam chłopakowi . Potem dzieliłam się z nim codziennie tym , co udało mi się zdobyć . Nabrał do mnie zaufania i kiedyś przynosi do kancelarii zwój białego jedwabiu i książeczkę oficerską i mówi : "niech pani to przechowaj , on taki kochany , uratował mi życie" . Był to spadochron . Obiecałam . Tylko wyszedł , podszedł major i mówi "nie chciałem przyjąć tym młodym mówić , ale niech pani nam to da , idziemy do niewoli , to nam się bardzo przyda" . Oddałam . Siostry poszyły im z tego koszule . Na drugi dzień , zapytana , czy zabrałam do domu , nie odpowiedziałam , tylko spuściłam głowę . Zrozumiał .

Żołnierze oddawali na korytarzu broń i pewnej chwili przychodzi do mnie sierżant-szef i mówi "niech pani nam pomoże , jeden żołnierz nie chce oddać karabinu , nie ma rady na niego , a sowieci patrzą" . Powiedziałam , żeby mi go tu przyprowadził , niech wszyscy wyjdą , sama z nim pomówię . Wchodzi młody chłopak , blady przeziębiony i powtarza " pan porucznik mówił , że karabin tylko z życiem można oddać" Jak mi tak powiedział , rozplakałam się rzuciłam się mu na szyję i mówię " chłopcze , tak trzeba generałowie i oficerowie tak zrobili , to niewola , nic nie poradzisz" . On też się rozplakał , ale karabin oddał , Straszne to były chwile . Ciągłe podchodził do mnie któryś z oficerów i mówił , niech pani to notuje , to są historyczne chwile . Niech Pani zapisze , jak zachował się płk . Cecenowski , komendant szpitala ! Rzeczywiście , komendant sowiecki robił mu wyrzuty , " jak pan mógł zrzucić mundur i przyjść w cywilnym ubraniu , tyle dni się pan nie pokazał w szpitalu , który jest pod jego opieką ! Tylko kpt Konstantynowicz / administracyjny szpitala / wyklóca się z ze mną o żarcie , lekarstwa i opiekę dla rannych . A pan niech się wstydydzi ! " To było przy wszystkich , i ~~po tym~~ właśnie potem major prosił mnie o te "historyczne notatki" .

Któregoś dnia sierżant-szef, żyd, po przyjeździe z miasta dostał ataku hysterii, rzucił się na ziemię, płakał i krzychał "nie miały prawa te żydziaki zrywać mi odznak sierżanckich!". Przed wyjściem do miasta uprzedzono go, niech zdejmie naszywki, no i doczekał się, od swoich.

Adiutantem płk Ceceniowskiego był por. dr ... nie pamiętam nazwiska, właściciel lecznicy w Warszawie, narodowości żydowskiej, kulturalny, elegancki, przystojny. Nosił w oku monokl. Po zajęciu szpitala przez sowietów, rozmawiając z jakimś oficerem nie przedstawiał wrzucać i wyrzucać monokla z oka. Nawet nie zauważył, że oficer ten nie słucha zupełnie tego, co mu mówił, tylko ze zdumieniem w oczach przyglądał się zabawie z monoklem, która była niczym innym jak wynikiem silnego podenerwowania. Ponieważ siedziałam naprzeciwko, wtrącałam po polsku - "niech pan przestanie bawić się tym monoklem, bo on zgubi swoje oczy, a nie słucha, co ~~pan~~ pan do niego mówi", na co mi odpowiedział - "to niech pani wyjmie przypięty do kostiumu krzyż POW /miniaturkę/, to też niedobrze".

Bardzo przykra była też chwila, kiedy znów zwrócił się do mnie sierżant-szef w sprawie pochówki zmarłych w jakimś innym ~~w mieście~~ szpitalu żołnierzy. Nie było czym przewieźć ich na cmentarz, który był blisko naszego szpitala. Młody kapelan w mundurze żołnierza zebrał szarżę, sami wykopali groby, ale sanitariusze karetkami nie chcieli zmarłych przewieźć. "karetki są dla rannych nie dla umarłaków". "Niech pani porozmawia z kierownicami sanitarek". Poszłam. Parę słów do sumienia żołnierskiego, koleżeńskiego it. Ustąpili, ale pod warunkiem "napije się pani z nami", wyciągnęli napoczętą i napełnioną czymś różowym butelkę. Wypiłam siedłam z nimi i pojechaliliśmy po tych co zmarli. Już nie potrzebowałam pilnować ich, sami nosili, wypełniliśmy 3 sanitarki. Przywieźliśmy żołnierzyków wprost na cmentarz pod opiekę księdza kapelana. Zostali pochowani.

Nie znam losów tych ludzi, którzy przeszli przez tzw. kancelarię szpitala, rozbitków armii polskiej wziętej w dwa ognie. Setki oficerów lekarzy, żołnierzy, co się z nimi stało? Katyń pewnie. O losie jednego z nich wiem. Dr Jan Raczyński z Warszawy, mąż mojej przyjaciółki Marylki Połońskiej, córki wicewojewody wołyńskiego, następnie notariusza w Zdołbunowie, gdzie Marylka poznała swego przyszłego męża. Dr Raczyński został profesorem i był rektorem Akademii Medycznej w Warszawie. Żona z matką i bratowymi zginęła pod

gruzami domu w czasie działań wojennych.

Pracę swoją w szpitalu zakończyłam pod koniec września. Choć nie byłam pracownikiem etatowym dostałam, tak jak wszyscy 3 - miesięczną odprawę, tak zdecydowano, gdyż kasjer miał pieniądze i nie było co z nimi zrobić. Otrzymali wszyscy tylko, niestety ani oficerom ani żołnierzom nasz pieniądz nie był już potrzebny. Wszyscy poszli do niewoli. Ja swoje pieniądze zdążyłam wydać na zakup żywności do domu.



11/2

OKUPACJA NIEMIECKA , 1942

Wspomnienia z okresu wojny czasami wracają, szczególnie podczas samotnych , jesiennych popołudni i wieczorów. I dzisiaj przypominam sobie ten dzień, 4 grudnia 1942 roku. Ryszard poszedł do pracy, Grażynka wyszła rano i nocować miała u Basi, a ja wyruszyłam na miasto w poszukiwaniu złotych rublówek, na zakup których otrzymałam z Warszawy via Brześć, dużą sumę pieniędzy. Przypominam sobie, że było to 10 tysięcy nowych, jeszcze w opaskach, rubli, które wtenczas u nas chodziły.. 5-rublówka kosztowała chyba 300 rubli. Miałam już kupionych 15 złotych monet, które schowałam w pudernicze z pudrem na toaletce. Resztę pieniędzy trzymałam w szufladzie komody dużego tremy. Przed wyjściem wyjęłam paczki banknotów, pokręciłam się po mieszkaniu, myśląc, gdzie je schować, wreszcie wrzuciłam na dno szuflady w szafie w sypialni i przyrzuciłam jakimiś pogniecionymi sukienkami. Zrobiłam tak dlatego, że w nocy przyśniło mi się, że będę aresztowana. Trochę głupio się czułam. P drodze wstąpiłam do wet-bazy, gdzie pracowała siostra, Janka i powiedziałam, co mi się śniło, nie mówiąc nic o pieniądzach w domu. "Nie przejmuj się, sen mara, Bóg wiara " pocieszała mnie. Poszłam więc do knajpy, gdzie właściciel, jak mi powiedziano, sprzedaje złote rublówki. Głupia, nie znając jego, a wiedząc, że jest ukraińcem, mogłam spodziewać się co może mnie spotkać. Wprowadził mnie za zaplecze i tam sprzedał 3 monety 5-cio rublowe, to jest 15 rubli. Wychodząc, spostrzegłam na sali 2 milicjantów, co zaniepokoiło mnie trochę. Zaczęłam więc w yśleć, że lepiej nie wracać do domu i skierować się do znajomej dentystki / dr Zawidzkiej/, że niby chcę sobie wstawić złote zęby. Skręciłam więc na tak zwaną "psią górkę", gdzie był gabinet i mieszkał doktorostwo. W tym momencie podszedł do mnie młody chłopak i mówi "stijte, wy arestowany", ja "za co, przez ciebie?", a on "tu je stai szyj". Podchodzi drugi i potwierdza, że jestem przez niego aresztowana. Mówię więc, że idę do dentystki, a on "chodite za mnoj do zandarmerii".

Obaj szli blisko mnie przez całą ulicę Jagiellońską. Po drodze naprzeciwko spotkałam Zośkę Lipińską, krzyknęłam tylko "Zosiu!", a oni " milczeć, wy arestowana "!

Zaprowadzili mnie aż na Piłsudskiego do żandarmerii. Długo czekałam

w ciemnym pokoju, zbobila się już późna godzina. Obok mnie był przez cały czas ten młody ukraińiec. Po pewnym czasie podchodzi do mnie ten starszy i cicho pyta "wy zinka adwokata Lenartowicza?" Tak, "ne bijtesia , nyczoho wam nã bude" i odszedł. Gdy znów przyszedł, zaprowadził mnie do oficera niemieckiej żandarmerii, który przesłuchiwał mnie. Powtórzyłam to, co mówiłam wcześniej, że szłam do dentystki, żeby wstawić sobie złote zęby. Potem kazał zrobić szczegółową rewizję i zamknąć. Rewizję robiła młoda, ukraińska dziewczyna, dokładnie, ale bardzo wolno. Powiedziała, "pani pali, proszę więc tu papierosy wypalić, potem nie będzie wolno". Zabrała mi obrączkę, pierścioneł, złotą broszkę z krawata i pasek. Paliłam i myślałam o słowach Niemca, że w domu zrobią rewizję i jeśli złota ani pieniędzy nie znajdą, będą frei, jeśli tak, to kaput.

Trafiłam do piwnicy, a piwnice były ogromne i w każdej siedzieli aresztanci, gdzie zamknięte już były dwie kobiety, jedna młoda, ładna w futrze popielicowym, i druga, starsza kobieta ze wsi, której już w tych piwnicznych zamordowano po ciężkich torturach, męża i syna za znalezioną u nich broń. Ona skazana została na 5 lat. Opowiedziała mi potem o swoim nieszczęściu, o tym, że podłogi tu beżonowe a onatyłko w tenisówkach, że nie dają jaj piń wody, że przez okienkę wrzucają cuchnące, podpalone szmaty itp. W dzień ta młoda gdzieś przepadała.

Przez okienko w drzwiach zagadał do mnie milicjant z karabinem, który na korytarzu nas wszystkich pilnował. Ciekawy, zapytał za co mnie aresztowano. Opowiedziałam wessję jak na górze, a on zaczął mnie pocieszać, że jak rano zrobią rewizję i nic nie znajdą, to wypuszczą, ale te ruble to i tak zabiorą. Ba, żeby tylko nã znaleźli, bo i Ryszarda zabiorą, a Grażyłka sama zostanie. Nawet modlić się nie mogłam, bo zaczął bawić mnie rozmową, częstować niemieckimi papierosami, aż w końcu przeszliśmy na rozmowę po polsku. Okazało się, że był synem dróżnika kolejowego i chodził do polskiej szkoły. Starsza współtowarzyszka z celi poprosiła mnie, żebym dla niej dostawała wody do picia, przyniosł, wypića cały litr i poprosiła o jeszcze. Znow przyniosł. W końcu poszła spać na prycze i mnie do siebie zapraszała. Widziałam wcześniej, jak tłukła jakieś insekty, wszy napewno, nie odważyłam się więc. I tak zresztą spać bym nie mogła. Paliłam papierosy i siusiałam w kącie do kibla. Tak było do rana. Zmiana wartownika nastąpiła koło 11 w nocy. Zaprzyjaźniony rozpalil jeszcze w piecu, drzwiczki były na korytarzu, i poradził żebym

następcy nie słuchała, bo on będzie mówił, że mnie jutro tu na miejscu, jak wszystkich, rozstrzelają. On rano znów przyjdzie na służbę i przyniesie mi papierosy. I tak było, nowy obiecał, że jutro będzie kaput. Siedziałam więc na brzeżku pryczy i odmawiałam " pod Twoją obronę".

Rano o 8-mej wrócił i kładąc palec na ustach wyszeptał, że posli już robić rewizję i ma tytko do palenia machorę. Przypuszczałam jaki będzie wynik. Pieniądze były prawie na wierzchu.

W trakcie rewizji Ryszard wiedząc, gdzie były schowane pieniądze, tylko czekał na otworzenie szuflady pod lustrem. Gdy okazało się, że tam nic nie ma, był pewien, że wyniosłam je z domu i sam nawet wyciągnął szufladę w szafie, lecz któryś z rewidujących przytknął ją kopniakiem, nawet nie zaglądając. Bóg strzegł.

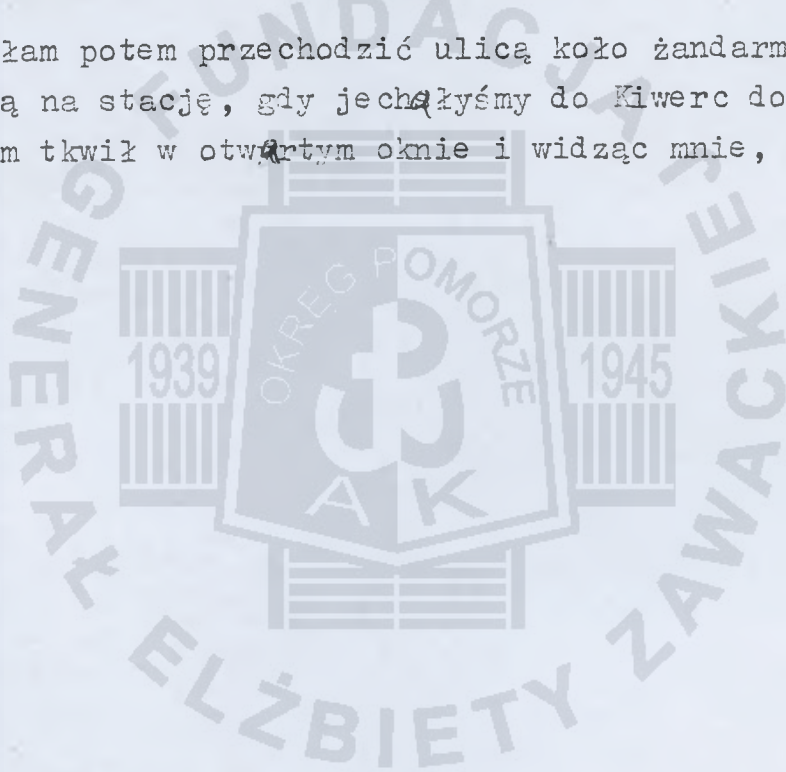
O 10-tej rano weszło do celi trzech ogromnych drabów, milicjantów, z karabinami i kazali iść ze sobą, otoczywszy z trzech stron. Gdzie? Wprowadzili na górę do tego przedpokoju, gdzie byłam wieczorem. Pod trzema ścianami stało trzech chłopców. Naszych! Buty oficerki, ręce z tyku, w kajdanach. Ja pod czwartą ścianą. Jednego tylko z profilu widziałam. Inteligenci, napewno AK. Jeden miał wyrwany rękaw kurtki i koszuli i krwawił. Płakać mi się wtedy dopiero zachciało. Ale w tej chwili zostałam wezwana do żandarma. Wchodzę do pokoju i tam widzę siedzącego Ryszarda!

Żandarm powiedział, że rewizja dopiero rano była zrobiona, ponieważ w dzielnicy nie było światła, i że nic nie znaleziono!! A i wieśszyk piękny na Hitlera też leżał pod serwetką przy łóżku nie odkryty, nie mówiąc o pieniądzech!! Jestem wolna i żebym pamiętała, że jest wojna, złota nie można kupować, i mam zapłacić 1000 rubli kary administracyjnej. Naturalnie Ryś zkapkał się za portfel, ale dowcipny żandarm powiedział, " o nie, u tej pani w torebce są pieniądze, niech sama płaci". Oczywiście zapłaciłam. Zawołał jeszcze komendanta ukraińskiego, nazywał się chyba Zaliwski albo Troicki, nie pamiętam, i powiedział mu, "ta pani nie jest handlarzką złotem i ma być oddane jej wszystko, co zostało przy rewizji zatrzymane, i jest wolna" Mówił to wszystko podniesionym, wysokim głosem. Już wychodząc, zwróciłam się do żandarma, "mam do pana prośbę", "jaką?" "tam w piwnicy jest stara kobieta, co ona zawiniła, to nie jej broń była, ona marznie w nogi, proszę mi pozwolić przynieść jej coś cieplejszego na nogi". "No, proszę, jak to się z polityczną

dogadała! No, ale dobrze!" I znów wezwał ukraińskiego komendanta i zapowiedział, że to co ta pani przyniesie w paczce tej starej kobiecie ma dojść nienaruszone. Do mnie wybrał się z komplementem że mam takie ładne zęby i po co mi złoto w ustach. Pożegnaliśmy się. a ja jeszcze głupia, powiedziałam żeby oddał mi zabrane ruble! Zaczął się śmiać i otwórzwszy szufladę pokazał mi pełną złotych rublówek luzem. Tego to pani nie dostanie, dowidzenia!

Zwrócono mi wszystko to, co zostało zabrane podczas rewizji. Za parę dni zaniiosłam tej biednej kobiecie paczkę z Rysia starymi, ale mocnymi butami i cały koszycek żywności.

Nie lubiłam potem przechodzić ulicą koło żandarmerii.. Raz szłam z Grażynką na stację, gdy jechałyśmy do Kiwerc do Lusi Lenartowicz, ów żandarm tkwił w otwartym oknie i widząc mnie, głośno się śmiał.



II/M

JESZCZE ROK 1942

Wiosną tego roku, gdy po powrocie z Ołyki mieszkaliśmy znów przy ulicy Sierakowskiego, w naszym przedwojennym mieszkaniu, magistrat zarekwirował nam dwa pokoje do swojej dyspozycji. Wprowadził się do nich jakiś gruby oberleutenant. Miał osobne wejście z kancelarii Rysia, ale do łazienki musiał przechodzić przez nasz pokój jadalny i przedpokój. Zachowywał się zupełnie przyzwoicie i jak dowiedział się, że nie mam ani węgla ani drzewa kawałeczka do kuchni przysłał pełen ciężarowy samochód drobno narąbanego drzewa, które w niszy kuchennej, gdzie mieszkała Aniela, po sam sufit znieśli i złożyli żołnierze. Był krótko, pojechał dalej na wschód. Po nim wprowadzili się dwaj oficerowie z Klinatinstytutu, mundury lotnicze, stopni oficerskich żadnych, obaj Ausrtiacy. Jeden z nich, ~~ze~~ z tytułem doktora, był wykładowcą Uniwersytetu Wiedeńskiego, chyba fizyki, drugi, ledwo po ukończeniu jakichś studiów, również w Wiedniu. Mieszkali też krótko, około 2-3 miesiące, ale stosunki między nami ułożyły się wręcz przyjaźnie. Ja, nałogowa palaczka, widząc u nich "prawdziwe" papierosy stojące na stoliku, próbowałam co jakiś czas podkraść jednego, dwa, co zostało chyba zauważone, gdyż zaczęli częstować mnie kilkoma papierosami naraz. Głupio mi było - ale cóż, brałam z wdzięcznością. Palacz chyba nie ma ambicji!

Starszy z nich, Richard Leiter mieszkał do czerwca, Antony Perner, tzw. Ciapus / przezwisko zyskał mało wojskowemu wyglądowi, gdyż lotniczy kordzik obijał się mu po pośladkach! / do lipca, do czasu naszego przymusowego opuszczenia mieszkania, ponieważ ulica Sierakowskiego została włączona do śródmiejskiej dzielnicy Nur fur Deutsche. Często mówiłam do nich "wy, Niemcy", na co odpowiadali, że są Austriakami, na co znów ja, że Hitler też jest Austriakiem. Doświadczałam ich strony różnych uprzejmości, dostawałam papierosy, których brak było na rynku, raz kawę, którą dla mnie przysłała z Wiednia żona Leitera. Matka Ciapusia przysłała mi nawet dwie pary pończoch. Kiedyś, na ich westchnienie, kiedy ta wojna nareszcie się skończy, powiedziałam, że wiem, ale im powiem tylko prywatnie, jak znajomym. Otóż wówczas, "kiedy SS i SA będą wołać SOS do USA." Zapanowało milczenie, wystraszyłam się, ale żadnych przykrości nie miałam. Może bali się i siebie nawzajem?

A przecież te słowa sprawdziły się potem, bo tak bardzo bali się nie woli sowieckiej, że gdy była tylko okazja sami poddawali się Amerykanom. Ale to było już w końcowej fazie wojny.

Pierwszy wyjechał Leiter, na wschód, do Kijowa, na 3 miesiące, aby otrzymać stopień oficerski. Raz tylko napisał, potem ślad po nim zaginął.

Któregoś dnia, kiedy Ryszarda w domu nie było, był w jakiejś delegacji z pracy, w drzwiach mieszkania pojawił się Ukański burmistrz miasta Skorobogatow, jakiś dawny znajomy Rysia, milicjant i młody cywil w czarnym ubraniu i białym szaliku. Oznajmili, że w przeciągu 5 dni muszę opuścić mieszkanie i wyprowadzić się do nowo przydzielonego, poza centrum. Nie wiedząc, kim jest cywil, a nie bojąc się Skorobogatowa, zaczęłam się wyklócać, tak o podłe mieszkanie, które spodziewałam się otrzymać, jak i o krótki termin wyprowadzki, bo męży nie ma, a ja jestem sama z dzieckiem. Zmiany mieszkania przestraszyłam się bardzo, bo byłoby to napewno mieszkanie w getcie, opuszczone przez zlikwidowaną ludność żydowską. A tam działy się rzeczy okropne. Do rozmowy wtrącił się cywil, oświadczając, że mieszkanie otrzymam dobre, on mi to gwarantuje. Odpowiedziałam, że pokażę mu jakie będzie dobre. Roześmiał się i stwierdził, że on nie ma na to czasu, ale ja, że będę miała czas, żeby mu to pokazać! Nieznajomy się śmiał, milicjant również, tylko Skorobogatow miał wystraszona minę. Wyszli, a ja zaraz po rozmowie pobiegłam do magistratu porozmawiać z burmistrzem, jak się uratować. A on no to, że przecież powiedział mi, że to był sam Gebietskomisarz Lindner, a ja chyba tego nie zrozumiałam. Rzeczywiście, nie zrozumiałam. Dopiero wtedy obleciał mnie strach. To był człowiek groźny, jeździł po mieście konno, z psem wilczurem przy boku, którego czasem szcukał dla zabawy na ludzi, sam podobno zastrzelił kiedyś chłopca, który podawał żydom żywność w getcie. Gdybym wiedziała kto to, nie ośmieliłabym się tak oponować, jemu jednak widocznie podobało się, że ktoś go się nie boi, i dlatego był taki łaskawy.

Mieszkanie dostaliśmy rzeczywiście dobre, choć na terenie getta, w pastorówce przy protestanckiej Kirsze, zielonej enklawie wśród starych, zrujnowanych, biednych domków. Naszymi sąsiadami, mieszkającymi w większej części domu, z kuchnią i łazienką, byli folksdojczy z poznańskiego, Szarzyńscy, z dwojgiem dzieci, Tereską i Hirkiem i starymi dziadkami. Sąsiadami byli mienajgorszymi. Na-

w et nie pamiętam już, gdzie on pracował, napewno w jakimś niemieckim urzędzie.

Tam odwiedził nas jeszcze kilka razy Ciapus, przez wyjazdem na wschód. Ostatni raz chyba już po aresztowaniu Ryszarda, w sierpniu 1943 roku.

Lindnera widziałam jeszcze raz, jak obserwował odjazd furmanki, którą zresztą otrzymałam na wyprowadzkę z magistratu przed domu. Mignął mi z daleka na koniu. Taka łaskawość może została mi okazana na interwencję Leitera przed jego wyjazdem, bo zawsze obaj Austriacy powtarzali, że "tak nam tu dobrze, pierwszy raz od początku wojny jesteśmy spokojni, i jeśli można tak powiedzieć, szczęśliwi".

Po wojnie, już ze Szczecina napisał kiedyś do Austrii, do małego miasteczka rodzinnego Ciapusia i otrzymałam odpowiedź, bardzo serdeczną i miłą. Po wyjeździe z Łucka i krótkim pobycie gdzieś koło frontu wschodniego, został wysłany do Afryki i tam został wzięty do niewoli, pewnie po wielkim łaniu otrzymanym przez Rummla, a po wojnie wrócił do domu i został nauczycielem geografii i fizyki w gimnazjum. O Leiterze nic nie wiedział. To było 10 - 15 lat temu. Korespondencja z mojej winy urwała się.

Post scriptum

W kilka lat potem nadszedł list informujący o śmierci. Zmarł na serce w wieku około 65 lat. Nie był żonaty, list napisała wieloletnia gospodyni Toniego, która znalazła zachowane moje listy ze szczecińskim adresem.

OKUPACJA lato 1942.

Przed wojną, już na Sierakowskiego, przychodził do nas ukrajiniec ze wsi tzw. mleczarz, który przynosił mleko, ser, świeże jaja, a latem też świeżo podebrany miód, jeszcze w plastrze, co bardzo lubiłam. Mało go widywałam, bo to Aniela z nim "handlowała". Wz czasie pierwszych sowietów oczywiście nie pokazywał się, aż kiedyś, po naszym powrocie do Łucka wczesnym latem 1942. roku znów zaczął przychodzić, on lub jego żona. Sprzedałam jej, oczywiście na wymianę, jakąś sukienkę, pantofle. Oboje z żoną byli dorodną parą, wysocy, bruneci, lubiłam ich. Kiedyś przyszedł i mówi, że ponieważ Niemcy wychodzą na drogę i zabierają chłopom wszystko co niosą, nie będą już chodzić do miasta i prosi, żeby przyjść do nich na chutor i zaopatrzyć się samą. Przyjść rano i wrócić wieczorem, bo już wtedy na drodze posterunków nie ma. Zgodziłam się z przyjemnością. Już tak dawno nie widziałam pól, zieleni i bezkresnego nieba. Poszłam sama, wróciłam pod wieczór niosąc dwa naładawane do pełna koszyki. Silna byłam wówczas.

Ale w tym czasie zaczęły się już na wsi niepokoje, żydzi byli w gettach, resztki wykłapywana po wsiach, a i polacy zaczęli się czuć się niezbyt bezpiecznie. Ale masowych rzezi polskich wsi jeszcze nie było. Poszłam kiedyś znowu i potem trzeci raz, już w czasie żniw. Młodzi przyjęli mnie jak zwykle serdecznie, ugościli, nakarmili, ale sami coś tam w polu mieli jeszcze do zrobienia. Anton w ięc tak powiedział: pani przyszła piechotą taki kawał drogi /14 kilometrów/, my pidem w pole, a pani pakeżyt' pid wisznioj, pospyt', posedyt' i na wyszni, perenoczujete, a raneńko pijdete do domu. My wecerom pryjdemo i vse dla was pryhotujemo. Posłuchałam, wieś, a właściwie ich chutor w zbożu z sadem obok chaty, cisza, ani jednego człowieka, ani Niemca, urzekły mnie. Zostałam. Minął dzień, po powrocie gospodarzy i po kolacji, najedzona, jak się położyłam w izbie to z miejsca usnęłam. Na drugim łóżku spali oboje gospodarze. W nocy obudziłam się, nasłuchuję, za cienką, drewnianą ścianą chaty słyhać wiele głosów i słowa: laszku derżysz w swojej chati, widdaj, i głos Antona: ne dam, ne dam. Głosy przybliżały się i oddalały. Strach ogarnął mnie, tak zginąć? Czy mnie Anton obroni? Ona była w ciąży, my to jest Ryszard i ja mieliśmy być u nich na chrzcinach, a Ryś miał być nawet ojcem chrzestnym.

Coprawda na ścianie w izbie wisiał symbol UPA, trójząb, ale mało co sobie z tego robiłam. Wszyscy Ukraińcy marzyli o wilnojskiej i samostijnojskiej Ukrainie. Trwały te "rozmowy" z 10-15 minut, nie wiem, może dłużej, w końcu oddaliły się. Zauważyłam, że ona siedziała w oknie cały czas i słuchała, co mówią. Potem zaległa cisza, usnęłam. Obudziłam się jak byłam już zupełnie jasno, wstałam w chacie nie było nikogo. Zabrałam swoje dwa koszyki i pognąłam do domu. Najgorsze było to, że ~~mi~~ wyszłam na pola musiałam przejść kawałek przez wieś. Idąc, spotkałam pusty, drabiniasty wóz na którym z pospuszczanymi między szczeblami nogami, siedzieli umundurowani, czarni, ukraińscy milicjanci. Wszyscy przyglądali mi się bacznie, aż powiedziałam, dywyteś, dywyteś, ja ne jewrejka. Nic na to nie odpowiedzieli, a ja natychmiast skręsiłam w pole, wprost na wieżę triangulacyjną, która była mi wskaźnikiem drogi na Łuck. Ze strachu, źle wybrałam drogę bo natrafiłam na dość głęboki rów melioracyjny, który nie wiem, jak przebrnęłam z pełnymi koszami, i mokra pognąłam aż do wieży na pagórku, gdzie orientowałam się już dobrze w drodze do miasta. Po drodze przechodziłam obok niewielkiego lasu. Las ten potem, przy likwidacji getta posłużył za mogiłę wszystkim Łuckim żydom. Co to były za czasy.

Nigdy więcej już na chutorze a Antonów nie byłam, ani oni w Łucku da mnie nie zachodzili. Ale kiedyś na ulicy spotkałam żonę Antona, był to już rok 1944, a od lutego weszli spowrotem sowieci. Zapytała mnie co jej mogę poradzić, bo Anton pyta czy ma siedzieć dalej w lesie, czy wracać do domu. Powiedziałam tak jak myślałam, dobrze jej życząc, że tu Niemcy już nigdy nie wrócą, lasów sowieci się nie boją i wszystkich, co siedzą w lasach wykapną, a wtedy będzie zupełnie źle. Niech on wraca do domu, jest mobilizacja, niech wstąpi do wojska sowieckiego, będzie spokojny o żonę i dziecko. Wiosną 1945 roku spotkałam ją na ulicy, po raz ostatni. Dowiedziałam się, że poszedł do wojska, pisywał, ale już 4 miesiące listu nie ma. Co robić może zabity, może ranny? Na to już nic nie mogłam jej powiedzieć. Tylko, że listy mogą ginąć, że on ranny w szpitalu. My wyjechałyśmy z Łucka w połowie maja 1945. Z Polski do Polski.

Wyjazd z Łucka i pierwsze dni w Kluczborku

Opuściłyśmy rodzinny Wołyń 20 maja 1945 roku przedostatnim transportem. Janka długo nie chciała wyjeżdżać, że niby rodzinnej ziemi ktoś powinien pilnować, patrioci nie opuszczają kraju, itp. Nawet sama, ale postanowiłam wyjeżdżać, Janka też wówczas się zdecydowała. Po tygodniu koczowania na dworcu w oczekiwaniu na podstawienie wagonów, nareszcie w nocy zajęły. Peron nieoświetlony - przed nami zatrzymała się węglarka bez dachu, tzw. lora. Wagony "lepsze", bydłowe, z dachem, zostały natychmiast zajęte przez rodziny, w których był choćby jeden mężczyzna, przeważnie ze wsi, aby umścić tam poza kobietami i dziećmi jakąś krowinę lub inne zwierzę gospodarskie. My, same kobiety, 5 nas było, zostałyśmy zostawione same sobie. W tym rejdach, krzyku i płaczem dwóch złodziei złapało moją walizkę owiniętą w ładowską matkę i zaczęło uciekać. Puściłam się za nimi w pogoń, ale sama o mało co nie oberwałam biegnąc za nimi po torach. Mamusia i Janka, bezradne przy tłumokach, Grażynka i Basia płaczące. Znalazło się dwóch chłopaczków, którzy obiecali, że jak załadują swoje rodziny to pomogą nam i żeby nikogo do tej lory nie dopuszczają. I tak się stało. Poza nami, załadowała się też żona żołnierza WP z dwiema córkami. Było więc nas 8 kobiet.

Jechaliśmy 14 dni.. W nocy transport ruszył i nad ranem byliśmy już pod Lwowem, pod Podzamczem. Wagonów było dużo, 50, ale duża, sowiecka lokomotywa nie mogła wyciągnąć wagonów pod górę, do stacji Podzamcze, co podjedzie trochę, to szybko, kołysząc wagonami, bo był zakręt, cofa się z powrotem. Trwało to dość długo i wywołało popłoch i płacz dzieci i kobiet. Niedaleko była wieś, oczywiście ukraińska, mogli nas przecież dopaść i pomordować. Baliśmy się. Wreszcie lokomotywa odjechała i po jakimś czasie przyjechały dwie. Ulga wielka. Te nas pociągną. Ta sama historia, do przodu i znów obie cofają się wstecz. Znowu strach. Po jakimś czasie obie odjechały i przyjechała mała lokomotywa polska. Patrzyliśmy zdumieni, jak przyczepiła nas do siebie i powoli, krok za krokiem sapiąc i sapiąc, ale nie ustępując ani metra posuwała się wolno do przodu. Ludzi ogarnął entuzjizm, zaczęły się krzyki entuzjizmu, bicie brawa, aż nareszcie lokomotywa minęła górę

i potoczyła się po równym. Radość w całym transporcie panowała ogromna. Nasi góra! We Lwowie na stacji czekała na nas ludność z gorącą wodą, mlekiem, nawet kawą i chlebem. Staliśmy krótko i zaraz powieźli nas dalej, w nieznane. Dołem, przez Przemyśl, Podkarpacie aż do Krakowa. Tam zatrzymaliśmy się trochę dłużej. Mamusia wysiadła i wyruszyła na własną rękę do Cezi, która całą wojnę przesiedziała w Łososianie koło Limanowej. Matki, zwróciły się do miejscowej ludności z prośbą o gorącą wodę, niektóre o mleko dla małych dzieci, usłyszały: "a kto wam każe podróżować, trzeba było siedzieć w domu" Nie dały. To zasiedzieli krakowianie!

Po Krakowie pamiętam Bytom, bo tam właśnie kazano nam w przeciągu 2 godzin przenieść się do wagonów normalnotorowych, europejskich, gdyż jechaliśmy szerokorozstawnymi, jakie mają u siebie sowieci. Można sobie wyobrazić, jak u nas, samych kobiet takie przenosiny wyglądały. Pociąg z pustymi wagonami stał na sąsiednim torze, bez peronów, bez ramp! Musiałyśmy same te ciężkie bagaże spuszczać, ciągnąć po torach i wciągać do też towarowego wagonu. Skąd brałyśmy na to siły? Tu zetknęłyśmy się "bida z bidą" to znaczy my i niemki, które ^{przyszły} pod transport, aby wymienić jakieś rzeczy na coś do jedzenia. My nic nie miałyśmy, ale inni "handlowali".

W czasie podróży były deszcze, a nawet grad. Dla dziewczynek zrobiłyśmy jakieś schowanki z daszkiem, same zażywałyśmy świeżego powietrza. Już w Polsce podszedł do nas jakiś młody chłopak pytając, skąd jesteście, ja mówię, że transport z Łucka, na co on, dowcipnie, że prędzej z Czortkowa, takie jesteście czarne. Już na opolszczyźnie pamiętam stację Olesno. Powiedziano nam, że w miasteczku można kupić ile się chce białego chleba. Pobiegłam z Janką. Był maj, uliczki były śliczne, kwitły drzewa, nam nieznanne. Teraz wiem, były to krategusy. W ogródkach pełno było kwitnących irysów, narcyzów. Tylko domy były puste. Nikt tam nie mieszkał, bo większość Niemców uciekła. My nadal nie wiedziałyśmy dokąd jedziemy. Tego chleba nakupiłyśmy po 3-4 dwukilogramowe bochenki. i potem nie wiedziałyśmy, co z nim zrobić. Ale łapczywość nasza była zrozumiała, odkąd weszli do Łucka sowieci nie jadłyśmy białego chleba! Dlatego tak wszyscy się na niego rzucili.

Potem był Kluczborek. Miasteczko miało być powiatowe, ładne, czyste ukwiecone również. Znajomy z transportu, pan Szuszkiewicz wysiadł tam i nas namawiał również Ale pojechałyśmy dalej. Przez Poznań do Torunia, gdzie zatrzymaliśmy się na bocznych torach na 2-3 dni. I tam dowiedzieliśmy się, że wiozą nas na Mazury, do Olsztyna. Wystraszyłyśmy się komarów i wilgoci, dlatego zaczęłam starać się o odcepianie naszego wagonu z transportu i skierowanie go z powrotem do Kluczborka, bo tak po naradach zdecydowałyśmy. Za butelkę wódki kolejarz przeprowadził machinację i "już", 4 czerwca znalazłyśmy się z powrotem w Kluczborku.

Po przyjeździe na stację, na rampie, pakuje się do naszego wagonu jakiś młody, przyzwoicie wyglądający człowiek, i zapycha nasze rzeczy jakimiś niechlujnie powiązanymi tłomokami, z obrusów, kap itp. Zapytałam, dokąd chce jechać, bo ten wagon tu zostaje a my się wyładujemy. Krzyczał długo i głośno, że on figura i ma takie same prawa jak my, ale wreszcie przy pomocy kolejarza czy sokowca pozbyłam się go. Dowiedziałam się też, że tak właśnie wygląda szaber i szabrownik. Takie wyipy, przeważnie z Kongresówki, tym się zajmują! Nie wolno było, ale wywożone było wszystko, wszystkie fortepiany samochodami wyjechały! W maju my zajmowałyśmy już prawie pusta, ogołocane mieszkania.

W nocy przedyżurowałam w wagonie, na rozmowach z żołnierzem sowieckim, który czegoś tam pilnował. Rano znalazłyśmy jakąś furmankę z jednym koniem i załadowawszy nasze manele pojechałyśmy szukać "domu". Znalazłyśmy go za miastem, na osiedli Randsiendludę za torami w stronę. Opola.. Złe wypatrzyłyśmy, bo dom był niewykończony, bez podłóg, z wodą w piwnicy. Było w nim parę jakichś gratów i niedokończona jajecznicza na stole. W ogrodzie kwitły irysy i hiacenty. Po drodze woźnica wskazując batem na budynek powiedział, że tam jest milicja, i ci naszabrowali, u nich wszystkiego można dostać. Zapamiętałam to sobie. I w parę dni potem idę do MO i grzecznie pytam o Komendanta. "Proszę pana, słyszałam, że dużo naszabrowaliście i u was wszystko można dostać". Wrzasnął "kto pani jest, skąd pani przyszła i po co" Pokazałam PUR-owskie papiery, ucichł i pyta, kto mówił, żeśmy naszabrowali. Ano, woźnica, który nas wiozł. Nie wypytywał dalej, jak dowiedział się, że ze wsi i nie o nim nie wiem. Komendant zapytał, czego potrzebuję, na co ja, że jakichś talerzy, kubków, najniezbędniejszych rzecz. Kazał na drugi

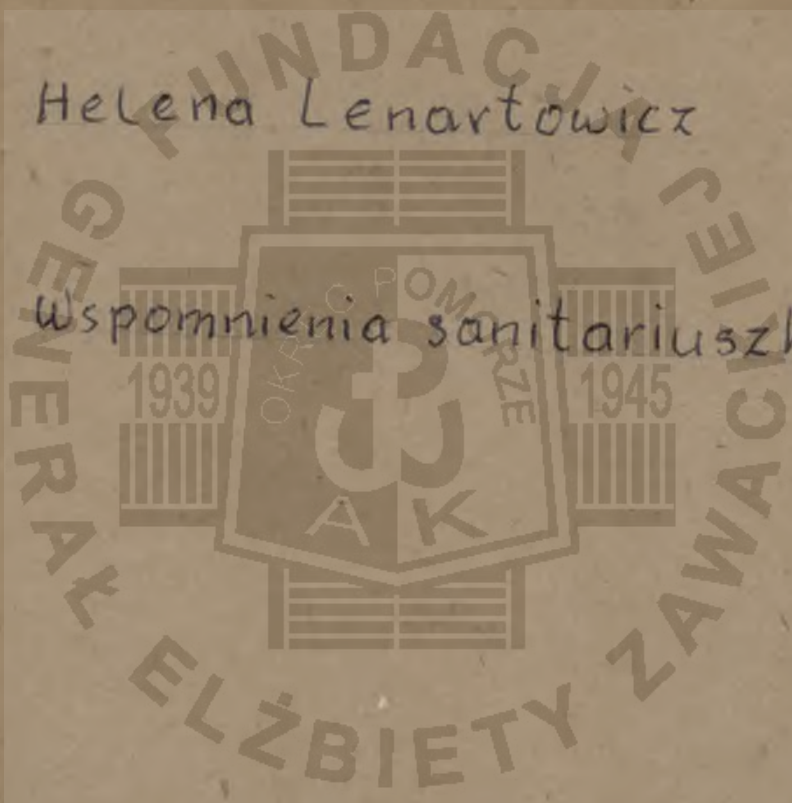
przyjść z jakimś wózkiem, to będzie gdzie to wszystko załadować. Pożyczyłam wózek od sąsiadów autochtonów i nabrałam wszystkiego, co było mi potrzebne. Dyżurujący w tym dniu chłopak zaproponował, żeby wszyscy przesiedleńcy z Łucka przyszli i zaopatrzyli się, bo oni tu mają tego dość, po dziurki w nosie. Chłopak wtykał mi wszystko do ręki, a ja się broniłam, bo co mi łopatka do tożtu nie będę nigdy tego robić, i nie rób, ale placki kartoflane będą czym przekładać, i tak dalej.

Dowiedziawszy się, gdzie mieszkamy, przyszedł kiedyś Komentant zapytać jsk się nam powodzi. Było źle. Nie było pieniędzy, a 4 osoby do wyżywienia. Poradził - o, widzi pani, tam kopce z kartoflami, sypali je nasi jeńcy. Może pani śmiało z wózkiem podjechać i nabrać. W mieście, ale tylko rano, można kupić już mleko i ser. Natrze pani kartofli, do środka nałoży sera białego, usmaży na oleju i gotowe pierogi. Sprzeda to pani po 5 złotych na dworcu. Kiedy ja się boję, na dworcu milocja gania za handlującymi babami. Oni pędzą handlarki, jak panią zobaczą, to się odwróca, bo wiedzą, że pani potrzebuje. No i tak bobikałam przez dwa tygodnie, bo od lipca zaczęłam pracować w Społem. I czułam się jak w raju. Wymagania w pracy były, ale i wynagrodzenie hojne, bo tak mi się wtedy wydawało.

Mieszkanie wkrótce zmieniliśmy, na śródmiejskie i Grażynka zaczęła chodzić do gimnazjum.

Helena Lenartowicz

wspomnienia sanitariuszki



III/21

Wieloletnie do charakterystyczne i wirtuoz-
jące wspomnienie ze spontanicznej pracy
Kobiet we wrześniu 1939
przystąpiła do Kierownicy
III 1999 r.

pisarka Helena Lenartowiczowa - wspomnienie

sanitarmiska - woli ubierać siebie
w szpitalu w Łucku 18 1939 r

opracowała H. Kuczyńska-Lwa

Kresy - Łuck ^{1/2}

wrzesień 1939 rok

Wpłynęło dnia 9.03.99
Ldz. 615/WSK/99

Wojna zastała nas, to jest mnie z Grażynką już w domu, po naszym powrocie z wakacji, które jak co roku spędzaliśmy na Leśni - czówce / ~~Garne~~ Łozy koło Torczyzna / Lipińskich. Parę bomb zostało rzuconych gdzieś w okolicy koszar, podenerwowanie było wielkie u wszystkich, ale byliśmy najlepszej myśli, że "nie oddamy nawet guzika". W parę dni potem na nasz Łuck i wogóle na Wołyń nastąpił najazd uciekinierów z centralnej Polski. W tym rozgardiaszu zaginął nam ukochany pies Grażynki., jamnik Cis, który korzystając z zamieszania uciekł na ulicę, a tam pewnie ktoś go ukradł.

Na moją prośbę przyjął mnie "na ochotnika" w szpitalu wojennym Nr. 1 komendant tegoż szpitala dr Ceceniowski. Dziwna to była praca. Szpital był już zapełniony rannymi, wszystkie łóżka zajęte, ale szpital zamieniał się w punkt zborny rozbitków z formacji wojskowych. pełno było lekarzy bez przydziału i wogóle zbieraniny nie wiadomo jakiej. Służba sanitarna zaraz po wejściu bolszewików, uciekła do domów, ranni leżeli nieopatrywani, lekarze siedzieli w tzw. kancelarii pod ścianami i głucho i tępo wszyscy milczeki. Po wejściu na salę z rannymi słyszałam "siostrzyczko proszę pomóc, chcę pić, co tam słyhać, co z nami zrobią"?

Któregoś dnia, w sąsiednim gmachu byłego gimnazjum, zamienionym również na szpital i pełnym rannych bez opieki, spotkałam się z matką mi znaną p. Karasiewicz. Wiedziałam, że mąż jej był dyrektorem w którymś z banków. Na ogromnym, pustym korytarzu leżał sam na noszach jakiś wojskowy i błagał o pomoc, "siostrzyczki, pomóżcie, to nie moja wina, że jestem taki brudny, że robaki po mnie łażą". Oczywiście podeszliśmy, był to żandarm, chudy, ale bardzo długi, nogi sterczały poza nosze. Pani Kar. opatrzyła go jak mogła i same wniosłyśmy go na salę gdzie było wolne łóżko. Nie był ciężki, ale dla nas warty wystarczająco dużo. Ledwie go niośliśmy, a tu trzeba było jeszcze nosze podnosić, ponieważ wolne łóżko stało gdzieś daleko pod ścianą. Ale dałyśmy radę. Pamiętam tylko jak ze wszystkich ust rannych słyhać było za nas stękanie i pomaganie, "siostrzyczki wyżej, w lewo, och jak wam ciężko, a my pomóc nie możemy". Wróciłam wściekła do swojej "kancelarii", diabli mnie wzięli, że tam beczynnie siedzi tylu mężczyzn lekarzy /był tam też napewno dr Szarecki/, powiedziałam więc głośno to co myślę, że tam ranni leżą bez opatrunków, bez wody, a tu tylu beczynnie siedzi. Mil-

FUNDACJA
Archiwum Pomorskie Armii Krajowej,
ul. W. Garbary 2, tel. 65-22-186
87-100 TORUŃ

czenie było odpowiedzią.

Kiedys z tego kręcącego się po szpitalu tłumu podchodzi do mnie jakiś dyplomowany major i prosi: "ja wiem, że zginę idąc tam do niewoli, ale jest tu ze mną podchorążak, ostatni z rodziny, byłbym pani bardzo wdzięczny gdyby pani mi go stąd wyprowadziła, mamy znajomych mieszkających obok Zamku Lubarta". Bramy pilnowali młodzi żydzi, cywile z czerwonymi opaskami na rękawach. Ponieważ szpital ten zorganizowany był w gmachu Macierzy Szkolnej i położony już prawie za miastem obok cmentarza i koszar, parę razy prosiłam tych młodych chłopców o sprowadzenie dorożki, bo do domu miałam daleko i od codziennego kręcenia się po szpitalu bolały mnie nogi. Teraz też poprosiłam o dorożkę. Gdy przyjechała podeszłam z tym podchorążakiem, któremu założyłam na rękaw opaskę czerwonego krzyża i udając, że się słabo czuję potrzebuję pomocy i odwiezienia do domu. Najgorzej było potem, gdyż nie chciałam jechać śródmieściem, ul. Jagiellońską, która prowadziła do Katedry i na Zamek, tylko kazałam staremu dorożkaczowi objeżdżać dookoła. Nie wiem co myślał, ale słuchał, choć wiedział gdzie mieszkam i do domu "chora" nie wracałam. Ale dojechaliśmy szczęśliwie na Plac Zamkowy, chłopak wysiadł, a ja ostrym głosem powiedziałam "za godzinę ma Pan być w szpitalu z powrotem". Potem pojechałam do domu - udało się. Nie znam jego nazwiska.

Z domu, ku oburzeniu gosposi i męża zaczęłam wynosić soki aby choć wodę z kranu umilić rannym w smaku. Szczególnie jeden wiele pił, miał przestrzeloną pierś na wylot. Kiedys przy takim picciu zapytał "czy siostrzyczka miejscowa", tak, odpowiedziałam, A to dobrze, ~~mam~~ tu kolegę, może pani da mu znać, on mi pomoże. Nazywa się inż. Stanisław Gutkowski. Okazało się, że to mój szwagier. Dałam znać, ale sprawa była skomplikowana. Ranny nie mógł chodzić. ubrania nie miał. No i przecież bramą nie wyjdzie. Miałam zaprzyjaźnionego jakiegoś wojskowego, bez odznak, wysokiego draba, który w tym czasie nie tracił głowy i "urządzał ~~urządzał~~ się". Widząc, że jestem ciągle zajęta, swoje papierosy odaję rannym, a w mieście sklepy były już pozamykane, choć czasem dostawałam parę papierosów, tytoniu czy bibułki, wtykał mi do ręki jabłko czy papierosa, postanowiłam do niego udać się po pomoc. Chętnie się zgodził. Pomoc ta polegała na wyłamaniu w parkanie ogradzającym szpital paruru sztachet, w kącie, koło śmietnika, tak, aby nie bardzo schylając się, mógł przejść ranny. Oczywiście przedtem przyniosłam od

V. Wiesław(?) Motz

szwagra pakunek z ubraniem Na oczach wszystkich, na sali przebrałam rannego w cywilne ubranie i oboje wzięwszy go pod pachy zeszliśmy w dół, do piwnic i stamtąd pod wyłamany parkan. Udało się. Stach już w domu sprowadził do niego lekarza i po krótkim pobycie w Łucku, ubrany w skórzaną kurtkę szwagra, ruszył w drogę na Węgry. Ocalał, mieszkał po wojnie w Londynie, był nawet w Warszawie i kontaktował się z moją rodziną, ale o "siostrzyczkę", która mu pomogła, nawet nie zapytał.

Jeszcze dwa obrazki z czasów szpitalnych. W pierwszych dniach wojny ^(przed wkroczeniem Sowiec) zestrzelony został samolot niemiecki i dwóch lotników uratowało się, choć byli lekko ranni, i na noszach przyniesiono ich do nas. Stałam nad nimi gdy raptem obaj jak na komendę usiedli na noszach i zaczęli nadśłuchiwać. Rzeczywiście nadleciały samoloty niemieckie, które zaczęły brzucać bomby na naszą okolicę. W tym czasie nie bałam się niczego i poniosło mnie, że te byki, strzelające do ludności cywilnej nawet na łąkach nad Styrem, zabijający uciekających z miasta cywilów, kobiety i dzieci, udają tu chorych! Powiedziałam, że się ich samolotów nie boimy, a po nich zaraz przyjdzie żandarmeria. I rzeczywiście sprowadziłam telefonicznie żandarmerów, którzy zabrali ich ze szpitala.

Z biegiem czasu, to nie był już tylko szpital, ale zbiorowisko uciekinierów i rozbitków na granicach wschodnich Polski. Straszne i poniżające chwile przeżywaliśmy. Po 17 września wyszło zarządzenie--oddawanie broni, oficerowie krótką, żołnierze karabiny, granaty. Były to okropne chwile. Twarze oficerów blade, ściągnięte. Ja siedziałam przy maszynie, naprzeciwko biurka komendanta sowieckiego, który zajął je po płk. Ceceniowskim. Zanim oddał broń, jeden z oficerów pokazuje mi rewolwer i mówi : "to mego ojca. dwie wojny z nim przeszedł, jak ja go oddam?". Zrobiłam to - była taka chwila i wypatrzywszy gdzie leży, gdy komendant wyszedł, a dwóch żydków pilnujących zagadało się, złapałam ten rewolwer i schowałam pod swoje papiery. Na W pokoja stale kręcili się oficerowie, ja musiałam wyjść i po krótkiej nieobecności, gdy chciałam schować go głębiej, to jest do swojej torebki, nie zastałam broni już na miejscu. Nie wiem kto mógł go zabrać, bo kiedy to wiedziałam dobrze. Może odzyskał go właściciel, ale chyba nie był w stanie go uratować. U mnie byłoby lepiej, nikt mnie nigdy przy wyjściu nie rewidował. Pewnego razu, gdy odjeżdżała karetka sanitarna, pełna broni złożonej w koszach, skorzystałam z propozycji konwojujących żydków, że odwiozą mnie do miasta, usiadłam "półgębkiem" na koszu z bro-

nią , wjechałam aż ~~na~~ na podwórze Urzędu Wojewódzkiego , podeszli jacyś sowieccy żołnierze, wysiadłam i nie zatrzymywana przez nikogo wyszłam przez otwierającą się przede mną bramę. Było już NKWD.

Jeszcze jeden obrazek. Po korytarz^{ach} chodził lotnik, w szlafroku, rękę miał na wyciągu, głowę obandażowaną tak, że tylko jedno oko patrzyło, usta opuchnięte. Był o kuli. Widziałam, że patrzy na mego papierosa, którego paliłam, poczęstowana przez sierżanta-szefa 24 p.p. bardzo życzliwego człowieka. Dawał mi już ^{on} tylko po pół papierosa, gdyż wiedział, że dzielę się tym co mam z rannymi, a połówkę chyba sama wypalę! Ale i tego, nadpalonego oddałam chłopakowi. Potem dzieliłam się z nim codziennie tym, co udało mi się zdobyć. Nabrał do mnie zaufania i kiedyś przynosi do kancelarii zwój białego jedwabiu i książeczkę oficerską i mówi: "niech pani to przechowaj, on taki kochany, uratował mi życie". Był to spadochron. Obiecałam. Tytko wyszedł, podszedł major i mówi "nie chciałem przyk tym młodym mówić, ale niech pani nam to da, idziemy do niewoli, to nam się bardzo przyda". Oddałam. Siostry poszły im z tego koszule. Na drugi dzień, zapytana, czy zabrałam do domu, nie odpowiedziałam, tylko spuściłam głowę. Zrozumiał.

Żołnierze oddawali na korytarzu broń i pewnej chwili przychodzi do mnie sierżant-szef i mówi "niech pani nam pomoże, jeden żołnierz nie chce oddać karabinu, nie ma rady na niego, a sowieci patrzą". Powiedziałam, żeby mi go tu przyprowadził, niech wszyscy wyjdą, sama z nim pomówię. Wchodzi młody chłopak, bladej przeraźliwie i powtarza " pan porucznik mówił, że karabin tylko z życiem można oddać" Jak mi tak powiedział, rozplakałam się rzuciłam się mu na szyję i mówię " chłopcze, tak trzeba generałowie i oficerowie tak zrobili, to niewola, nic nie poradzisz". On też się rozplakał, ale karabin oddał, Straszne to były chwile. Ciągłe podchodził do mnie któryś z oficerów i mówił, niech pani to notuje, to są historyczne chwile. Niech Pani zapisze, jak zachował się płk. Ceceniowski, komendant szpitala! Rzeczywiście, komendant sowiecki robił mu wyrzuty, " jak pan mógł zrzucić mundur i przyjść w cywilnym ubraniu, tyle dni się pan nie pokazał w szpitalu, który jest pod jego opieką! Tylko kpt Konstantynowicz / administracyjny szpitala/ wyklóca się z ze mną o żarcie, lekarstwa i opiekę dla rannych. A pan niech się wstydzi!" To było przy wszystkich, i ~~po~~ właśnie potem major prosił mnie o te "historyczne notatki".

Któregoś dnia sierżant-szef, żyd, po przyjeździe z miasta dostał ataku hysterii, rzucił się na ziemię, płakał i krzyczał "nie miały prawa te żydziaki zrywać mi odznak sierżanckich!". Przed wyjściem do miasta uprzedzono go, niech zdejmie naszywki, no i doczekał się, od swoich.

Adiutantem płk Ceceniowskiego był por. dr ... nie pamiętam nazwiska, właściciel lecznicy w Warszawie, narodowości żydowskiej, kulturalny, elegancki, przystojny. Nosił w oku monokl. Po zajęciu szpitala przez sowietów, rozmawiając z jakimś oficerem nie przedstawiał wrzucać i wyrzucać monokla z oka. Nawet nie zauważył, że oficer ten nie słucha zupełnie tego, co mu mówił, tylko ze zdumieniem w oczach przyglądał się zabawie z monoklem, która była niczym innym jak wynikiem silnego podenerwowania. Ponieważ siedziałam naprzeciwko, wtrąciłam po polsku - "niech pan przestanie bawić się tym monoklem, bo on zgubi swoje oczy, a nie słucha, co ~~pan~~ pan do niego mówi", na co mi odpowiedział - "to niech pani wyjmie przypięty do kostiumu krzyż POW /miniaturkę/, to też niedobrze".

Bardzo przykra była też chwila, kiedy znów zwrócił się do mnie sierżant-szef w sprawie pochówki zmarłych w jakimś innym ~~w mieście~~ szpitalu żołnierzy. Nie było czym przewieźć ich na cmentarz, który był blisko naszego szpitala. Młody kapelan w mundurze żołnierza zebrał szarżę, sami wykopali groby, ale sanitariusze karetkami nie chcieli zmarłych przewieźć. "karetki są dla rannych nie dla umarłaków". "Niech pani porozmawia z kierownicami sanitarek". Poszłam. Parę słów do sumienia żołnierskiego, koleżeńskiego itd. Ustąpili, ale pod warunkiem "napije się pani z nami", wyciągnęli napoczętą i napończoną czymś różowym butelkę. Wypiłam siadłam z nimi i pojechaliśmy po tych co zmarli. Już nie potrzebowałam pilnować ich, sami nosili, wypełniliśmy 3 sanitarki. Przywieźliśmy żołnierzyków wprost na cmentarz pod opiekę księdza kapelana. Zostali pochowani.

Nie znam losów tych ludzi, którzy przeszli przez tzw. kancelarię szpitala, rozbitków armii polskiej wziętej w dwa ognie. Setki oficerów, lekarzy, żołnierzy, co się z nimi stało? Katyń pewnie. O losie jednego z nich wiem. Dr Jan Raczyński z Warszawy, mąż mojej przyjaciółki Marylki Połóżskiej, córki wicewojewody wołyńskiego, następnie notariusza w Zdołbunowie, gdzie Marylka poznała swego przyszłego męża. Dr Raczyński został profesorem i był rektorem Akademii Medycznej w Warszawie. Żona z matką i bratowymi zginęła pod

gruzami domu w czasie działań wojennych.

Pracę swoją w szpitalu zakończyłam pod koniec września. Choć nie byłam pracownikiem etatowym dostałam, tak jak wszyscy 3 - miesięczną odprawę, tak zdecydowano, gdyż kasjer miał pieniądze i nie było co z nimi zrobić. Otrzymali wszyscy, tylko, niestety, ani oficerom ani żołnierzom nasz pieniądz nie był już potrzebny. Wszyscy poszli do niewoli. Ja swoje pieniądze zdążyłam wydać na zakup żywności do domu.

Określenie wspomnień spisane w wieku 80-ciu lat Helena Demofenowa, żona adwokata Ryszarda Demofenowa zamieszkała w Sudzie do roku 1945 tj. do czasu tzw. repatriacji do Polski 1945
Ryszard Demofenow zmarł w listopadzie 1943 r. rozstrzelany przez Niemców w więzieniu w Rumuni

To fut me drôle de guerre
to tragédie de la paix russe

IV KORESPONDENCA (z Fundacja - Gminy demantowa - Lęborskiej - ciałki)

(2003) k. 4



Grzyba Leartowicz-
-Węgorzeńska

ul.
09-400 Ptock

iv/1

Archiwum WSK
ul. Wielkiej Barbary 2
w Toruniu

Uzupełniając relację dot. służby wojennej
Heleny Leartowiczowej, przesłaną do Archiwum
w Toruniu przez p. Izę Kuczyńską, na jej prośbę
dotyczącą zdjęcie mojej matki, Heleny Leartowicz-
owej.

Z poważaniem
Grzyba Węgorzeńska

Wartawa dn 15.03.2003

FUNDACJA	
"Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek w Toruniu"	
Wpłynęło dnia:	18.03.2003
L. dz.	637/wsk-412/03
Załączniki:	
Referent:	

Toruń, dnia 02.04.2003 r.

Pani Grażyna Lenartowicz - Węgorzewska
ul.
09-400 Płock

L. dz. 458 / WSK-4/12/03

Szanowna Pani,

Bardzo serdecznie dziękuję za przekazanie zdjęcia śp. Heleny Lenartowicz, które stanowi cenne uzupełnienie posiadanych przez nas materiałów. Na podstawie relacji przesłanej nam przez p. Izabelę Kuczyńską założyliśmy teczkę osobową o numerze inwentarzowym T. 3423/WSK, do której włączyliśmy również zdjęcie.

W naszym Archiwum staramy się zgromadzić jak najpełniejsze dane dotyczące kobiet walczących o nieodległą Polskę, dlatego ośmielam się prosić Panią o dalsze materiały. Zależy nam przede wszystkim na wszelkiego rodzaju dokumentach dotyczących życia Pani Matki, takich jak: metryka urodzenia, świadectwa szkolne, legitymacje. Bardzo proszę o przesłanie choćby kserokopii.

Obecnie podjęliśmy nową inicjatywę utworzenia Muzeum Wojskowej Służby Polek. Zgromadzone przez nas eksponaty prezentowane były na wystawie: Wojskowa Służba Polek, której ekspozycja odbywała się w Toruniu, a następnie w Gdyni. Jeśli zechciałaby Pani przekazać nam swoje pamiątki z pewnością zaprezentujemy je w przyszłości na podobnych wystawach.

Jeszcze raz dziękuję i przesyłam serdeczne pozdrowienia.

Z wyrazami szacunku

Anna Jurkiewicz
Anna Jurkiewicz

Dokumentalistka Działu: Archiwum WSK

Grażyna Lenartowicz-Węgorzewska
ul.
09-400 P Ł O C K

Płock, 8 kwietnia 2003

14/3

FUNDACJA "Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek" w Toruniu	
Wpłynęło dnia:	10.04.2003
L. dz.	822/wsk-412/03
Załączniki:	KW
Referent:	Aty

Fundacja
ARCHIWUM I MUZEUM ARMII KRAJOWEJ
oraz SŁUŻBY WOJSKOWEJ KOBIET- POLEK
ul. W.Garbary 2
87-100-TORUŃ
p. Anna Jurkiewicz

W odpowiedzi na pismo potwierdzające otrzymanie fotografii mojej Matki Heleny Lenartowicz, zawierające również prośbę o dalsze materiały, przesyłam Pani kserokopie dokumentów znajdujących się w moim posiadaniu, bardzo nielicznych zresztą, oraz spisane przez Matkę, a uporządkowane przeze mnie już po jej śmierci, urywki wspomnień z lat wojny.

Patriotyczny i niespokójny duch mojej Mamy nie pozwoliły Jej nigdy być obojętną na to, co działo się w kraju i wokół Niej. Po aresztowaniu w 1943 roku ^{z ŁUCKU} mojego Ojca, mecenasa Ryszarda Lenartowicza, była jedyną żoną jeżdżącą w konwojach niemieckich do Równego, gdzie był więziony i zginął w zbiorowej egzekucji w połowie listopada 1943 roku Ojciec. Pracowała w tym czasie w przedsiębiorstwie niemieckim i utrzymywała mnie i swoją matkę. Po wojnie wychowała i wykształciła mnie sama.

Była bardzo dzielny, prawym i dobrym człowiekiem.

Mam nadzieję, że przesłane odbitki i spisane wspomnienia w prowadzonej przez Panią dokumentacji, przydadzą się.

Z poważaniem

11/4

FUNDACJA
'Archiwum i Muzeum Pomorskie
Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek'
87-100 Toruń, ul. W. Garbary 2
tel.: 65-22-186, e-mail: archAK@um.torun.pl
REGON 87050273

Toruń, dnia 15.04.2003 r.

Pani Grażyna Lenartowicz - Węgorzewska
ul.

09-400 Płock

L. dz. 1921/WSK-412/03

Szanowna Pani,

Dziękuję serdecznie za list i kolejne materiały. Zarówno wspomnienia, jak i kopie dokumentów zostały włączone doteczki osobowej Pani Matki i stanowią cenne uzupełnienie posiadanych już przez nas informacji.

Pozwolę sobie na jeszcze jedną prośbę. Wśród teczek osobowych założonych w naszym Archiwum niewiele dotyczy kobiet, które brały udział w I wojnie światowej, a także kobiet służących w POW. Czy mogłaby nam Pani udzielić więcej informacji na temat służby Pani Matki w tej formacji? Być może śp. Helena Lenartowicz zostawiła wspomnienia z tamtych czasów, a może posiada Pani pamiątki lub inne materiały z tego okresu. Byłoby to dla nas niezwykle cenne.

Zbliżają się Święta Wielkiej Nocy, z tej okazji składam Pani i Pani bliskim najserdeczniejsze życzenia zdrowia, pogody ducha i samych przyjemnych chwil.

Z wyrazami szacunku

Anna Jurkiewicz
Anna Jurkiewicz

Dokumentalistka Działu: Archiwum WSK

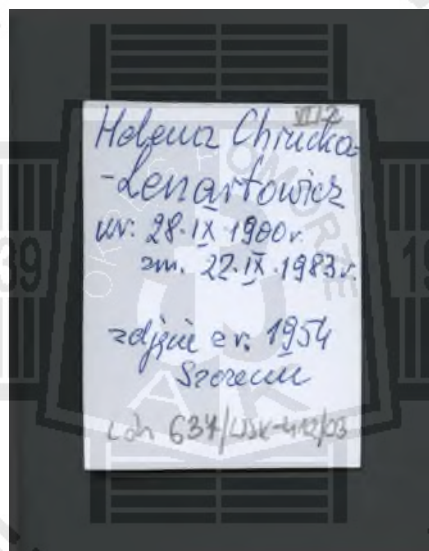
POW

T. 3423/WSK

LENARTOWICZ Helena
zd. Chmucka







Helena Chrućko^{W.2}
-denartowicz
ur. 28.1X.1900r.
zm. 22.1X.1983r.
zdjęcie z r. 1954
Szopce
Ldn 634/USK-442/03

LENARTOWICZ Helena

